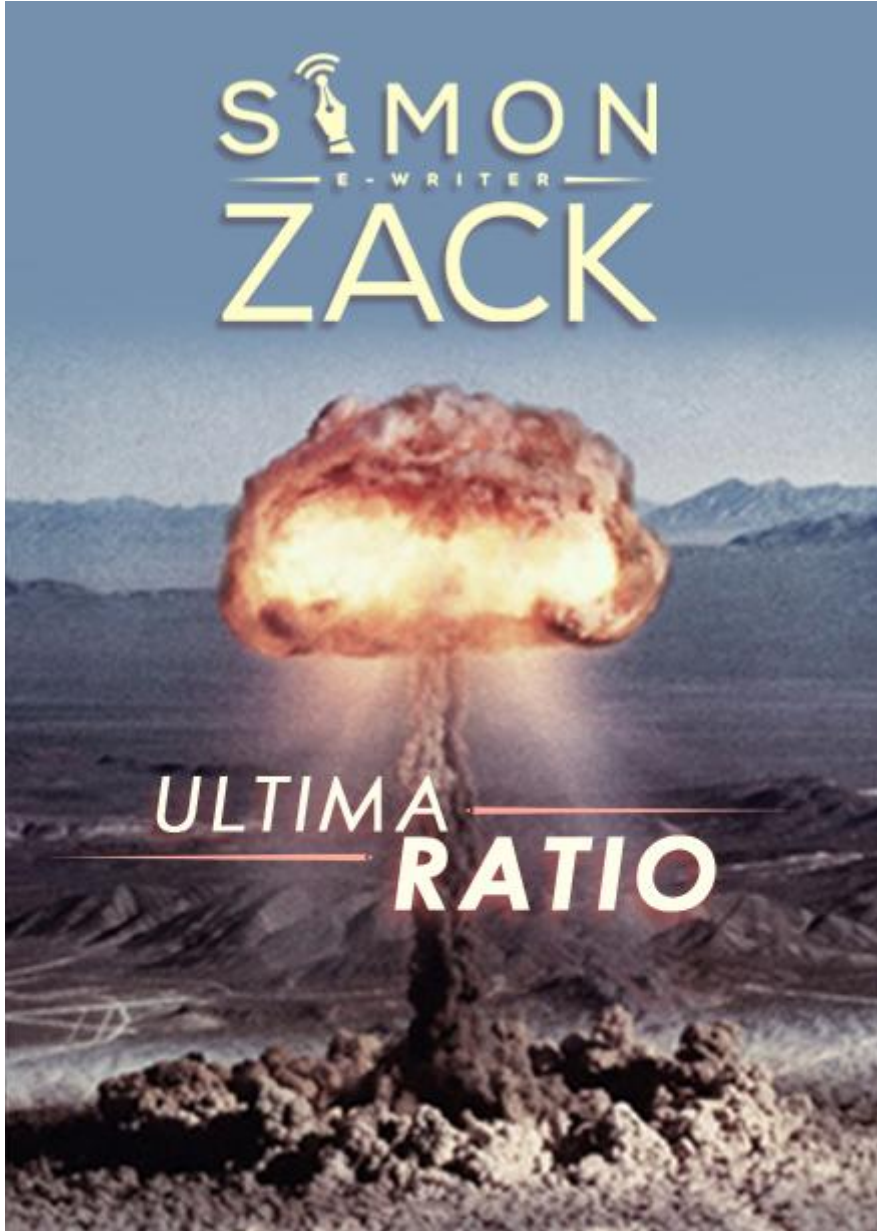


SIMON  
E - WRITER  
ZACK

ULTIMA  
RATIO



# Ultima ratio

## 1.

*Jeśli wrogowie pokoju grożą nam siłą, muszą zostać i zostaną siłą potraktowani, i to siłą, która zrobi na nich wyjątkowe wrażenie. Ktokolwiek wciąż nie jest tego w stanie pojąć dzisiaj, z pewnością zrozumie to jutro.*

Nikita Chruszczow – I sekretarz KC KPZR

Mężczyzna w białym kitlu stał przy oknie, wycierając okulary. Zatopiony w myślach czyścił wysłużone szkła, od czasu do czasu podnosząc oczy na burzę szalejącą ponad miastem. Nie przeszkadzało mu zupełnie, że ani miasto, ani budynek, w którym przebywał, ani on sam nie istnieli.

Arzamas-16. Ściśle tajne serce ściśle tajnego projektu. Miasto w obwodzie niżnonowogrodzkim, decyzją Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wymazane z map, wyjęte spod cywilnej jurysdykcji, ogrodzone, zamknięte, strzeżone pilniej od samego Kremla, tonęło tego ponurego wieczora w strugach ulewnego deszczu. Pogoda zdawała się idealnie współgrać z nastrojem oczekującego naukowca.

Jeśli ignorancja była błogosławieństwem, to on musiał być jednym z nielicznych ludzi prawdziwie przeklętych. Andriej Sacharow dysponował niemal kompletną wiedzą z dziedziny fizyki jądrowej. Na palcach jednej ręki można było policzyć ludzi, którzy wiedzieli tyle co on o wykorzystaniu energii atomu, o konstrukcji ładunków, bomb i głowic atomowych, o gigantycznym potencjale zniszczenia ukrytym w niewidzialnych cząstkach. Po śmierci swego genialnego mentora Igora Kurczatowa, w lutym 1960 roku, objął przewodnictwo radzieckiego programu nuklearnego.

Sacharow, oczekując na spotkanie ze swym zespołem, toczył beznadziejny bój z myślami.

Otrzymane tego ranka rozkazy wciąż ścisnęły go za gardło, od czasu do czasu kopiąc w brzuch falami mdłości. Jego wyobraźnia, wiedza i inteligencja zdawały się współpracować w doskonałej komitywie, aby niczym arcymistrz szachowy, grający o siedem ruchów do przodu, wyprzedzać bieg wydarzeń i dręczyć sumienie. Podszepty i wizje konsekwencji torturowały zgarbionego naukowca, który desperacko starał się wmawiać sobie, że ciągle ma wolny wybór.

Korytarz za drzwiami wypełnił się gwarem rozmów. Podekscytowane głosy zbliżały się do gabinetu. Sacharow włożył okulary i odwrócił się od okna. Gdy weszli, właśnie odpalał papierosa.

– Andriej! Dobrze, żeś wrócił. – Olbrzym o okrągłej twarzy obramowanej bujną brodą schwył Sacharowa w żelaznym uścisku. Usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu złożyły na policzkach pojmanego dwa siarczyste pocałunki. W oczach brodacza obok sympatii i dobroduszości tańczyły ogniki diabelskiego intelektu. – Co w stolicy? Jak tam Natasza? Nu coś taki sztywny?

– Wycisnęliście z niego ducha, Romanie Gurijowiczu. Jak to tak człowieka od razu ucaścić i w powietrze unosić? Cześć, Andriej.

– Karalow, Gurijowicz, witajcie. – Sacharow wyswobodził się z objęć i pobieżnie ucisnął prawicę obu mężczyzn. – Profesorze Chariton. – Ukłonił się również najstarszemu członkowi zespołu.

– Coś się stało, prawda, Andriej? Coś niedobrego – mruknął Gurijowicz, poprawiając na swej niedźwiedziej piersi zmierzwiony uniform.

Papieros Sacharowa zaskwierczał w brzemiennej ciszy. Naukowiec dmuchnął sinym kłębem i zaczął mówić. Relacjonował pozornie bez emocji, szybko, rzeczowo.

– Panowie. Dzisiejszego ranka spotkałem się osobiście z sekretarzem Chruszczowem i członkami Komitetu. Przekazano mi następujące rozkazy. W obecnej sytuacji geopolitycznej, a szczególnie wobec niepokojącej ekspansji imperialistów, Związek Radziecki musi dobitnie i niezaprzeczalnie pokazać swoją potęgę i niezłomność, w sposób, który raz na zawsze rozwieje wątpliwości świata. Nasz zespół otrzymał zadanie skonstruowania największego na świecie

ładunku termonuklearnego i przeprowadzenia stosownej demonstracji. Szczegóły eksperymentu znajdziecie w dokumentach. Mamy czas do najbliższego zjazdu partii, cztery miesiące.

Sacharow podszedł do biurka, podniósł papierowe teczki i pospiesznie rozdał kolegom. Gurijowicz, słynny z umiejętności błyskawicznego czytania, przewracał kartki, mrucząc pod nosem. W pewnym momencie podniósł brwi i wydymając usta, gruchnął śmiechem. Jego tubalny głos huknął w pomieszczeniu niczym pożegnalny grzmot przemijającej burzy.

– Wot twoja mać, mateczko jedyna! Patrzenie no na siedemnastą stronę. Siła ładunku sto megaton. Dobrze! Ot, to, to. – Brodacz śmiał się serdecznie, pozwalając, by wesołość frywolnie targała jego masywnym ciałem. Twarz mu spurpurowiała, z oczu pociekły łzy. – Sto megaton, panowie koledzy, taki eksperyment! Ależ ktoś byka strzelił w dokumentacji.

Pozostali spojrzeli na wspomnianą stronę. Popatrzyli po sobie. Popatrzyli na opadającego na krzesło Sacharowa. Zrozumieli.

– Job twoja mać, pomyłeczka. – Gurijowicz smarknął głośno i zaczął wycierać twarz rękawem. – Telegrafuj, Andriej, od razu, coby poprawi...

Olbrzym zająknął się, widząc twarze towarzyszy.

– No jak to tak? Mateczko jedyna, to nie błąd? – Przeżegnał się ukradkiem. – Sto?! Przecież to szale...

– Zawrzyjcie wreszcie gębę, Romanie Gurijowiczu! Język wam skacze jak targowej przekupie. Czego w rozkazie nie rozumiecie? Czego wy nie rozumiecie w rozkazie sekretarza Chruszczowa?! – Wzrok Sacharowa ciskał gromy zza osłony okularów. Koktajl krańcowej frustracji, bezsilności i wściekłości buzował w jego umyśle tak intensywnie, że zdawał się wrzeszczeć o uwiecznienie obok wynalazku towarzysza Mołotowa. – Siła eksplozji sto megaton. Sto! Sto! Sto!

Naukowiec ciskał tym słowem niczym zatrutym sztyletem. Na celowniku ślepej furii znaleźli się wszyscy powiązani z bronią masowej zagłady: pomysłodawcy i konstruktorzy pierwszej bomby atomowej, ich następcy, intensywnie pracujący nad rozwojem superbroni, wreszcie on sam

i jego przyjaciele, którzy znaleźli sposób, by z bomby atomowej stworzyć bombę wodorową, niebotycznie eskalując siłę zniszczenia.

– Sto megaton ma być – powtórzył rozdygotanym głosem. – To ma być demonstracja, jakiej świat nie widział.

Michaił Karalow dogasił papierosa w szklanej popielnicy i momentalnie sięgnął po kolejnego.

– Mówiłeś im o konsekwencjach? – Buchnął słupkami dymu ze szpiczastego nosa. – Czy oni w ogóle mają pojęcie, co rozkazali? Ładunek o sile stu megaton jest nierealny.

– Sto megaton nierealne? Niby dlaczego? – Dotąd milczący profesor Julij Chariton podniósł brwi w szczerym zdumieniu. – Wykorzystując projekt Tellera-Ulama, z niedawnymi modyfikacjami towarzysza Sacharowa, myślę, że spokojnie moglibyśmy pokusić się nawet nie o sto, ale sto trzydzieści! Może i sto pięćdziesiąt megaton mocy!

Poderwał się z krzesła i niezwykle energicznie, jak na swój podeszły wiek, doskoczył do ściany z tablicami. Błyskawicznie zaczął pokrywać ciemną taflę rzędami cyfr, równań i symboli. Jego umysł płonął w ekstazie uwielbianych liczb, pławił się we wzorach i teoriach, piał hymny pochwalne fizyki i pieśni zwycięstwa myśli nad materią, ku chwale Związku Radzieckiego i Komitetu Centralnego.

Karalow chwilę obserwował kreślone pospiesznie obliczenia. Kąciki jego ust drżały, zdradzając rosnącą irytację.

– Nie chodzi mi o teoretyczną możliwość – rzucił, wyrzuwając papierosa z ust. – Zbudować można wszystko. Czy Komitet Centralny zdaje sobie sprawę, jakie następstwa będzie miała eksplozja o takiej sile? Mówiłeś im, Andriej? – Drobnny naukowiec zaczął skubać palcami dolną wargę. – Sto megaton to niemal sześć i pół tysiąca razy tyle co Hiroszima. Przecież to ciężko sobie nawet wyobrazić! Mówiłeś im, Andriej?

– A jak ci się zdaje?! – syknął Sacharow zza zaciśniętych szczęk.

– Sześć tysięcy Hiroszim jednocześnie... Przecież jedna wystarczyła, żeby zgładzić całe

miasto. – Rozgorączkowany Karalow zaczął chodzić po całym gabinecie. – Gdziekolwiek to eksploduje, wywoła totalne zniszczenia. Założmy, że odpalimy to na samej północy, na Nowej Ziemi, najdalej od jakiegokolwiek cywilizacji, przecież i tak nie obędzie się bez ofiar. Przy takiej sile eksplozji miasta oddalone nawet o dwieście, trzysta, może i z pięćset kilometrów ucierpią. A opad radioaktywny? Przypomniałeś im o próbie Amerykanów z pięćdziesiątego czwartego? Andriej, przypomniałeś? Piętnaście megaton mocy, a opad radioaktywny skażył im niemal dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych! Do cholery, przecież przy stu megatonach trzeba liczyć się z tym, że skażenie może ogarnąć cały Związek Radziecki, ba, całą Azję! A jak powieje w drugą stronę, to i Europę. No i w końcu wyobrażacie sobie falę uderzeniową z takiej setki? Przecież to już można rozpatrywać jako zagrożenie w skali globalnej.

Olbrzym Gurijowicz dźwignął się z krzesła. Widząc minę Sacharowa i krople potu skrzące się na jego czole, podszedł do przyjaciela i poklepał go potężną łapą po ramieniu.

– Andriej, daj spokój. Wiemy przecież, że musiałeś oponować.

– Nie chcieli słuchać – rzucił Sacharow, ściskając dłoń w pięść. – Prosiłem, tłumaczyłem, groziłem nawet. Nic! Gdy uświadomiłem im, że przy takiej sile wybuchu załoga samolotu, który zrzuci ładunek, nie będzie miała żadnych szans na ucieczkę, zafrasowali się chwilkę i tyle. Mówiłem o skażeniu, o wstrząsie sejsmicznym, o wszystkim, cholera, mówiłem!

– I nic? Ale skąd w ogóle pomysł...

– A jak myślicie, psiamać!? Skoro teraz Francuzi testują swoje bomby, my również musimy wznowić eksplozje. To doskonały pretekst i okazja, żeby podkreślić swoją pozycję i pokazać potencjał. Musimy być pierwsi. Musimy być najlepsi i najwięksi!

– Tak. Skoro amerykańce piętnaście megaton, to my sto. – Karalow z niedowierzaniem pokiwał głową. Gurijowicz zaklął pod nosem.

Zamilkli. W gabinecie słychać było jedynie gorączkowe stukanie kredy o tablicę i mamrotanie profesora Charitona.

– Rozkaz jest. Po co się dręczyć? – westchnął Gurijowicz. – Nic nie wskóramy, tak czy siak,

trzeba będzie wykonać.

– Gówno, nie wykonać – mruknął Sacharow.

Łapa niedźwiedzia zacisnęła się cęgami nieludzkiej siły na barku naukowca. Sacharow znieruchomiał, a bujna broda Gurijowicza musnęła jego skroń.

– A tobie co? Job twoja mać! Życie zbrzydło? – zgięty w pół olbrzym szeptał wprost do ucha przyjaciela. – Ty myślisz, że mnie w smak to wszystko? Ty myślisz, że sam jeden widzisz, jakie skutki będą i co my możemy narobić? Co ci się wydaje, zaparty duraku, żeś jeden niespokojny o bliskich? Gówno, nie wykonać? Dysydenci za takie słowa wraz z całymi rodzinami nawet nie na Syberię, ale prosto pod mur trafiają. I kula w łeb! Job twoja mać.

Sacharow zwiotczał, jakby uszło z niego powietrze, zwiesił głowę.

– Ja tak sobie myślę, że my źle na to patrzymy. – Karalow ściszył głos do szeptu: – Słuchajcie. To przecież my mamy to wykonać. To w naszych rękach wszystko. Sto megaton każą? No i co z tego? My i tak im damy połowę. My im zrobimy pięćdziesiąt i dodatkowo my im podziękujemy za ostrożność i rozważę. Pochylimy głowy i posypimy je popiołem, ukorzymy się i przyznamy, żeśmy się dali ponieść ambicji. Chwała mądrości Komitetu, że nas powstrzymał przed takim planem, bo kto wie co moglibyśmy wysadzić, czy tylko siebie, czy wszystkich pospołu.

Gurijowicz otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Sacharow ścisnął jego dłoń.

– Chcą demonstracji siły? Damy im demonstrację siły, jakiej świat nie widział. – Policzki Karalowa zaróżowiły się nagle. Oczy naukowca roziskrzyły się dobrze wszystkim znanym ogniem pasji. – Ależ to będzie gigantyczne. Trzy tysiące razy większe od tego, co amerykańce zrzucili na Japończyków. Przy pięćdziesięciu megatonach my damy radę jeszcze w miarę to ogarnąć, a Chruszczowowi szczęka i tak opadnie z zachwyty.

– Cztery miesiące na taki projekt. Ależ to będzie wyścig! – Gurijowicz pogłaskał bujny zarost.

Dzięki wyjściu z sytuacji, które proponował Karalow, wielki ciężar odpowiedzialności zaczął podnosić się z barków sumienia Sacharowa. Duma i ambicja powracały, by znów grać

pierwsze skrzypce. Szef radzieckiego programu atomowego milczał, jednak po samych oczach można było zauważyć, że jego umysł już zaczął szukać sposobu realizacji zadania.

Czekała ich oto perspektywa zbudowania swego miejsca w historii, okazja przygotowania niezapomnianego opus magnum w symfonii nuklearnej destrukcji.

\*\*\*

Zdążyli.

30 października 1961 roku nad archipelag Nowej Ziemi na Morzu Arktycznym nadleciał zmodyfikowany bombowiec Tupolew Tu-95W. Pilotujący go major Andriej Durnowtsew zwolnił zaczepy ładunku ochrzczonego dumnie Car-Bombą i od razu maksymalnie przyspieszył. Dla załogi rozpoczął się dramatyczny wyścig z czasem. Samolot mknął na wysokości dziesięciu kilometrów, uciekając przed kwintesencją zniszczenia opadającą na ogromnym spadochronie.

Kilka minut później, o godzinie 11.32, nad poligonem zapłonęło drugie słońce.

Jeden z generałów – świadków eksperymentu – relacjonował później, iż ujrzał chmury podświetlone potężnym błyskiem, prawdziwym morzem światła, z którego wyłoniła się gigantyczna, świetlista, pomarańczowa kula. Wielka i przytłaczająca niczym Jupiter, powoli unosiła się do góry. Przebiła cienką warstwę chmur i wciąż rosła, aż wydawało się, że wessie całą Ziemię.

Eksplozja termonuklearna o sile pięćdziesięciu megaton swym ogromem zszokowała nawet samych konstruktorów bomby. Skaliste wysepki najbliższe miejscu detonacji po prostu wyparowały. Zniszczenia w obrębie kilkudziesięciu kilometrów zdawały się nierealne, wręcz apokaliptyczne. Powierzchnia ziemi zmieniła się w warstwę stopionego, spękanego szkła. Gigantyczny rozbłysk i kula ognia były widoczne z odległości nawet tysiąca kilometrów. Monstrualny grzyb atomowy wznosił się w powietrze na wysokość ponad siedmiokrotnie większą niż Mount Everest. Fala sejsmiczna obiegła kulę ziemską trzykrotnie, a fala uderzeniowa monstrualnej eksplozji była tak potężna, że spustoszyła miasta i wsie oddalone od epicentrum nawet



o ponad sto kilometrów.

Tego wieczora Nikita Chruszczow w pełnej egzaltacji odczytywał delegatom na zjazd partii raport z testu Car-Bomby.

– Oto początek nowej ery! – grzmiał z mównicy podekscytowany przywódca. – Nasze stumegatonowe głowice będą odtąd wisieć ponad głowami kapitalistów niczym miecz Damoklesa!

Erupcja oklasków i długotrwały aplauz liczyły się dla sekretarza równie mocno co napływające z całego świata protesty, wyrazy zaniepokojenia i krytyka.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich tryumfował.

Czterech naukowców, ojców tegoż monumentu nuklearnej chwały, zostało nagrodzonych podczas zjazdu najwyższymi odznaczeniami. Sacharow stał obok promieniejącego dumą Gurijowicza, a przy uśmiechniętym olbrzymie wyglądał jak przypadkowy statysta. Osowiały, lekko przygarbiony, z twarzą bielszą od kitla, wpatrywał się przymrużonymi oczyma gdzieś przed siebie.

Atomowy błysk eksplozji poraził mu wzrok mimo okularów ochronnych. Sacharow nikomu tego nie powiedział, ale w tamtej nanosekundzie niewyobrażalnej energii, w tym preludium największej reakcji łańcuchowej, doznał czegoś, co zdało mu się objawieniem absolutnej prawdy, wizją nieuchronnej przyszłości. Dopiero wtedy pojął ostatecznie, czego dokonał, co stworzył i czym w przyszłości może za to zapłacić. I to nie tylko on sam.

## 2.

*Posiadamy zdolność do drugiego uderzenia co najmniej tak samo potężną jak ta, którą mogą wykorzystać Rosjanie, uderzając jako pierwsi. Dlatego też jesteśmy przekonani, że Rosjanie nie spowodują poważnego konfliktu nuklearnego.*

Roswell Gillpatrick, podsekretarz obrony USA

Los Alamos, ściśle tajne serce ściśle tajnego projektu. Kolebka pierwszej na świecie, amerykańskiej bomby atomowej. Miejsce, w którym Oppenheimer wraz z zespołem noblistów poprowadził słynny projekt Manhattan, oddając w ręce ludzi władzę nad nuklearnym ogniem.

– Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj, co ty możesz zrobić dla swojego kraju – radio w samochodzie transmitowało powtórkę przemówienia inauguracyjnego trzydziestego piątego prezydenta USA Johna Fitzgeralda Kennedy’ego.

Limuzyna wioząca doradcę prezydenta zatrzymała się przed bramą wjazdową. Żandarm z symbolem MP na hełmie nachylił się do okna kierowcy. Sprawdził podane dokumenty i zasalutował w stronę tylnego siedzenia.

Radziecka demonstracja Car-Bomby wywołała wśród dowódców amerykańskich skrajne reakcje. Jedni postulowali konieczność przygotowania natychmiastowej kontrmanifestacji, przy użyciu jeszcze bardziej spektakularnego ładunku. Drudzy starali się tonować emocje, apelując o rozwagę i chłodną ocenę sytuacji. Dowodzili, że pokaz sowietów ma nikłe znaczenie praktyczne, gdyż nie istnieje skuteczny sposób przeniesienia tak ciężkiej bomby w realnej sytuacji bojowej.

Jack Richwoods podniósł teczkę z siedzenia i wysiadł, mrużąc oczy. Bezlitosne słońce Nowego Meksyku raziło z nieba oślepiającym blaskiem i żarem. Jako jeden z doradców prezydenckich średniego szczebla był stałym bywalcem kompleksu badawczego Los Alamos. Przygotowywał dla Białego Domu raporty i cykliczne sprawozdania z prowadzonych projektów.

W windzie towarzyszyła mu grupa naukowców. Wszyscy jechali w milczeniu, wpatrując się

w czerwone cyfry ponad drzwiami.

-7, -8, -9.

Dziesięć pięter pod ziemią, w ukrytych przed światem trzewiach Los Alamos, panował przyjemny chłód. Strażnicy lustrowali wysiadających, rzucając spojrzenia na przypięte do ich ubrań identyfikatory.

Szmer głosów słyszalny był wyraźnie nawet z końca korytarza. Jeden z czterech żołnierzy stojących u progu masywnych drzwi pchnął ciężkie skrzydło, przepuszczając prezydenckiego doradcę.

Jack stanął za progiem kompletnie oniemiały. W obszernej auli opadającej lekko w dół półkoliste rzędy siedzeń wypełniał tłum ludzi w białych kitlach. Na oko ponad sto osób zebrało się w pomieszczeniu. Rozmawiając podniesionymi, podekscytowanymi głosami, tworzyli harmider dysput, pytań, tłumaczeń, wyjaśnień, okazjonalnych przywitań i prezentacji.

Na centralnym podium krzątał się kilkusobowy zespół naukowców, przeglądając stosy papierów i podając sobie notatki. Całą ścianę w tle pokrywały tablice wypełnione schludnymi rzędami cyfr, wykresów, równań i rysunków.

Zarówno wyposażenie, jak i pojemność sali decydowały, iż to właśnie tutaj odbywały się najistotniejsze, wymagające konsultacji wielowydziałowych dyskusje i panele badawcze. Jack wiedział wcześniej o istnieniu tego miejsca, lecz nigdy przedtem nie odwiedzał go osobiście, a tym bardziej nie widział tak licznej grupy naukowców w stanie tak ewidentnego poruszenia.

Dudniący łoskot dobiegł nagle z niewidocznych głośników. Momentalnie zapanowała niemal absolutna cisza. Jeden z uczonych z centralnego podestu wziął podany przez technika mikrofon, potarł dłonią usta i zaczął mówić:

– Cztery miesiące temu Związek Radziecki przeprowadził największą jak dotąd eksplozję nuklearną. Otrzymaliśmy zadanie opracowania strategii odpowiedzi na ten groteskowy sowiecki pokaz. Teraz mogę już z całą pewnością powiedzieć, że ich posunięcie okazało się dla nas prawdziwym błogosławieństwem.

Szmer szeptów i pomruk komentarzy omiółł widownię. Podniesione brwi i wyczekujące spojrzenia dominowały na twarzach zebranych.

– Podczas naszych prac dokonaliśmy odkrycia, któremu teraz możemy już oficjalnie nadać miano absolutnego przełomu. Ostatnie trzydzieści pięć dni spędziliśmy w ścisłym siedmioosobowym gronie, wnikliwie sprawdzając nowe hipotezy i przeprowadzając testy. Obliczenia zdają się poprawne, wyniki wstępnych prób są bardziej niż obiecujące, postanowiliśmy więc, iż nadszedł czas, aby poddać efekty naszych badań jak najszerszej konsultacji wewnętrznej. Dalszą prezentację pozostawiam autorowi odkrycia. Profesor Patrick Bernhof.

Jack podniósł brwi, słysząc imię i nazwisko zaprzyjaźnionego profesora. Wciąż stojąc tuż za progiem, przypatrywał się przyjacielowi, który szybko przejął mikrofon i po niezwykle skąpym wstępie przeszedł do meritum wystąpienia.

Wcześniej doradcy prezydenta zdarzało się dosłownie rozbić o barierę naukowego żargonu, zwykle w takich momentach starał się robić notatki, zapisywać poszczególne słowa lub chociaż kontekst, by powrócić do nich później w prywatnych, mniej formalnych rozmowach. Tym razem Jack Richwoods dał za wygraną już po kilku zdaniach. Profesor zdawał się operować innym językiem, szyfrem tajemniczej, obcej rasy, dialektem przybyszów z planety zaawansowanej fizyki jądrowej, chemii nieznanych pierwiastków i wyższej matematyki. Gdy w ruch poszły wskaźniki, ilustracje, wykresy i równania, na sali wybuchło istne pandemonium. Naukowcy mówili jeden przez drugiego, niektórzy, kompletnie bez hamulców, krzyczeli i gestykulowali. Część powstała z miejsc i dołączyła do grupy na podium, tłocząc się nad notatkami lub wpatrując w zapisane tablice. Sytuacja szybko zaczęła przypominać bardziej ogarnięty paniką parkiet giełdy niż panel naukowy. Prezydencki doradca po chwili wahania odwrócił się na pięcie i wyszedł. Pozostawało jedynie czekać na osobiste spotkanie z profesorem.

– Niezły bajzel, co? – Patrick Bernhof wślizgnął się do gabinetu, w którym od trzech godzin czekał Richwoods. – Przepraszam, Jack. Gdybym wiedział, że już jesteś, wyrwałbym się wcześniej.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć, Pat – zaczął doradca, zgniatając niedopałek pośród

palisady innych sterczących z popielniczki. – Co się tam właściwie działo?

– Papieros! Boże, mogę jednego?

Zapalili. Jack przypatrywał się drepczącemu po pokoju profesorowi. Ten uśmiechał się, od czasu do czasu kręcił głową i wznosił ramionami, zupełnie jakby wciąż sam ze sobą toczył naukowy dyskurs.

– Wiesz, Jack – zaczął Bernhof, nie przerywając marszu – pamiętasz historię o Newtonie i jabłku?

– Coś kojarzę – przyznał Richwoods. – Siedział sobie pod drzewem, jabłko spadło mu na głowę, krzyknął „eureka” i wynalazł grawitację. O to chodzi?

– Dość blisko. – Bernhof przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw doradcy. – Mnie przydarzyło się coś bardzo podobnego. Mieliśmy wymyślić, jak odpowiedzieć na cyrk sowietów z tą ich superbombą. Naturalnie pierwszym, co przychodziło do głowy, było po prostu zrobić większe bum. Argumentum ad baculum, rozumiesz. Niby logiczne i wcale nie takie trudne, teoretycznie siłę wybuchu ładunku trójstopniowego można pchać w nieskończoność.

– Tak? Więc czemu ci od Car-Bomby zdecydowali się tylko na połowę siły, którą przechwalał się Chruszczow? Nasze raporty mówią o pięćdziesięciu siedmiu megatonach zamiast stu.

– No właśnie, właśnie! – Profesor wycelował palec w twarz Richwoods'a. – Wpadli na tę samą bolączkę co my. Skala i konsekwencje. Pieprzone konsekwencje. Możemy zbudować sto, sto pięćdziesiąt, dwieście. Chruszczow, z tego, co pamiętam, wypierdział coś o tysiącu megaton z tego swojego łysego, durnego komunistycznego łba. Teoretycznie też by się dało, ale problem nie w tym, jak zbudować, ale jak się przy okazji nie wysadzić. Projekt Bravo wciąż pozostaje cholernie bolesną lekcją, Jack, a i tak twierdzą, że wywinęliśmy się jedynie z prztyczkiem w nos od Boga.

– Pat, siedzę tu cztery cholerne godziny, a ty wpadasz w jakieś...

– Przepraszam, Jack. Przepraszam. – Profesor sięgnął po kolejnego papierosa. – Wiem, chcesz konkretów, ale pozwól mi jeszcze chwilę. Słuchaj. Pracowaliśmy dzień i noc, ślęcząc nad

rozpiskami i obliczeniami. Gdy w końcu padłem i położyłem się przespać, nawet we śnie wciąż zdawało mi się, że siedzę w laboratorium. Wiesz, Jack, śpiący mózg potrafi podobno dać z siebie o wiele więcej niż na jawie. Pomyślałem, pamiętam, że podchodzimy do tego wszystkiego dosłownie od dupy strony, i zacząłem rozmyślać, jak by ci to powiedzieć, w inny sposób, w innym kierunku. Żeby odrzucić schematy, podejść z innej płaszczyzny. Co było dalej? Przyśnił mi się pewien dziwny wzór, konkretnie, to cały zestaw. Zerwałem się z łóżka, chwyciłem pierwsze, co miałem pod ręką, i zacząłem pisać.

Profesor wyjął z kieszeni kitla pomiętą, obszarpaną stronę jakiejś książki. Na tle drobnego druku widniały zapisane pośpiesznym odręcznym pismem rzędy równań i koślawe szkice.

– Chcesz mi powiedzieć, że... przyśniło ci się coś? – Jack rozpostarł ręce. – Patrick, przecież ja to mam przedstawić prezydentowi, na litość boską, zachowujesz się, jakbyś starał się o turnus w wariatkowie. Zaczynaj mówić z sensem!

– Opracowaliśmy nową broń, nowy wariant broni atomowej, modyfikację, która daleko wykracza poza cokolwiek, co mieliśmy do tej pory. I to wszystko dzięki sowietom i tej ich cholernej wielkiej bombie. Gdyby nie ich pokaz, nigdy byśmy na to nie wpadli.

– Opracowaliście coś mocniejszego od bomby wodorowej?!

– Nie, nie. Coś zupełnie innego, Jack. Coś w innym... w innym kierunku. Widzisz, Jack, tego nie sposób wytłumaczyć w prosty sposób. Raporty, czy to dla prezydenta, czy dla wojska, będą i tak przypominały encyklopedię techniczną. Wiem, wiem, musisz coś napisać, rozumiem. No to może tak. – Bernhof chwilę rozmyślał, w pełnym skupieniu bębniąc palcami po ustach. Gdy w końcu spojrzał wprost w oblicze oczekującego doradcy, oczy lśniły mu niczym w gorączce.

– Nazwaliśmy to ładunkiem grawitonowym.

Jack otworzył notatnik i zaczął pisać.

– Pierwsze zastosowanie, które nasuwało się samo, to oczywiście atak – kontynuował profesor. – Eksplozja ładunku grawitonowego sama w sobie jest nieporównywalnie słabsza od klasycznej reakcji łańcuchowej. Powiedzmy, że takie pół, może ćwierć Hiroszimy. Nie chodzi

jednak o siłę eksplozji jak przy atomówkach, ale o to, że w obszarze rażenia tworzy się pole energii amplifikujące naturalną grawitację ziemską w niewyobrażalny sposób.

– Naturalną grawitację? Znaczy co? – wtrącił Jack, nie przerywając pisania. – Wszystko zaczyna... ważyć więcej?

– To znaczy, że rakieta z głowicą grawitonową uderza w miasto wielkości Moskwy, Waszyngtonu, Londynu czy Paryża i w jednej mikrosekundzie całe miasto zostaje dosłownie sprasowane. Ot tak! – Dłonie profesora klasnęły głośno w cichym pomieszczeniu. – Destrukcja absolutna, zagłada totalna. Sto procent ofiar, sto procent zniszczeń. Żadnej możliwości obrony czy schronienia się.

Jack poderwał wzrok znad kartki i utkwił go we wciąż ściśniętych dłoniach profesora. Z twarzy doradcy odpłynęła cała krew, pozostawiając przed naukowcem alabastrowe oblicze z wytrzeszczonymi oczyma.

– To nierealne. – Richwoods przełknął ciężko ślinę, odłożył długopis i drżącą ręką sięgnął po papierosa. Żołądek ścisnął mu się do rozmiarów piłki bejsbolowej. Zimny pot oblał jego skronie i kark, gdy uświadomił sobie nagle, że zaczął bać się człowieka, który siedzi przed nim. Poczł się niczym prymitywny tubylec, który w dżungli napotkał nagle białego bożka władającego laską miotającą ogniste pioruny.

– Atak to mniej istotne zastosowanie – podjął profesor Bernhof.

– Mniej istotne?!

– Drugie z zastosowań okazuje się o niebo ważniejsze. Jeżeli zainicjujemy synchroniczny wybuch kilku mniejszych ładunków grawitonowych w wysokich warstwach atmosfery, możemy wywołać efekt indukcji cyklotrono... Prościej? Dobra, słuchaj. Możemy odpalić to nad głowami sowietów lub kogokolwiek innego i stworzyć sieć, która wyłapie wszystkie ich rakiety, pociski i samoloty. To będzie taka tarcza, którą w jednej sekundzie blokujemy ich kompletnie. Rozumiesz? Oni odpalają rakiety, podrywają bombowce, a my bam! Tworzymy nad nimi pole grawitonowe w atmosferze i wszystko spada na ziemię! Rozumiesz?

– Boże, Patrick, to wszystko na poważnie? Naprawdę masz coś takiego?

Profesor Bernhof nachylił się nad siedzącym przyjacielem, kładąc mu ręce na ramionach. Na jego twarzy tańczył tryumfalny uśmiech.

– Naprawdę, Jack. Próby jak dla mnie nie pozostawiają wątpliwości. Oczywiście wszyscy będą teraz przyglądać się mojej teorii z każdej strony, ale ja już wiem. Sowieci z tymi swoimi superbombami będą nas mogli pocałować. Broń grawitonowa to przyszłość, to zwycięstwo, mój drogi, zwycięstwo! – Naukowiec zatrzęsł Jackiem w przypiływie euforycznego entuzjazmu.

– Jeżeli kiedykolwiek dojdzie do trzeciej wojny światowej, to właśnie my będziemy rozdawać wszystkie karty.



### 3.

*W obliczu bomb atomowych i wodorowych wszelkie schrony nie są niczym więcej niż trumnami i grobowcami przygotowanymi zawczasu. Nie ma takiego bunkra, nieważne jak hermetycznie zamkniętego, w którym można by siedzieć spokojnie i bezpiecznie podczas eksplozji ładunku nuklearnego. (...) Musicie zrozumieć, szaleńcy, że wystarczy zaledwie kilka wielomegatonowych bomb nuklearnych, aby zetrzeć z powierzchni ziemi wasze małe i gęsto zaludnione kraje i zabić was wszystkich w łóżkach!*

marszałek Rodion Malinowski, minister obrony ZSRR

Prezydent John Kennedy stanął naprzeciw mężczyzny o kwadratowej szczęce i stalowych oczach, których spojrzenie mogłoby posłużyć do spawania metalu w nagłych wypadkach.

– Major Steve Heyser, Siły Powietrzne. – Wyprężony żołnierz zaszutował. – To dla mnie zaszczyt, sir.

– Jesteście absolutnie pewni, majorze? – wtrącił stojący obok Robert Kennedy. – Sto procent pewności?

W rękach Roberta, prokuratora generalnego USA, brata prezydenta Stanów Zjednoczonych, spoczywało siedem czarno-białych fotografii.

– Zostały wykonane dzisiaj? – upewnił się.

– Tak jest, sir. Wykonałem je osobiście podczas porannego przelotu.

– Dziękujemy, majorze. To wszystko.

Obecni w gabinecie mężczyźni w mundurach, kitlach i garniturach zebrali się wkoło rozłożonych na blacie zdjęć.

– Wygląda na to, generale Berringer, że sowieci naprawdę zagrali nam na nosie – zaczął prezydent. – Co dokładnie nam zagraża i co możemy z tym zrobić? I dlaczego, do cholery, dowiadujemy się dopiero teraz?

Generał Berringer, tęgi mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki, z imponującą mozaiką kolorowych odznaczeń w klapie munduru, wypiął pierś i zacisnął usta.

– Panie prezydencie, jestem gotów wziąć na siebie całą odpowiedzialność za...

– Nie czas teraz na to. Co się dzieje na Kubie?

– Zdjęcia potwierdzają jednoznacznie, że Związek Radziecki zaczął rozmieszczać na Kubie swoje siły strategiczne. Rakiety, samoloty, pojazdy, wojsko. Przynajmniej jedna z baz jest już w pełni operacyjna. – Generał wskazał punkt na mapie. – Sowieci mają tam siedem wyrzutni średniego zasięgu.

Prezydent postukał palcem w jedno ze zdjęć.

– Tak, panie prezydencie. Zdjęcia tej bazy wykonał dziś rano major Heyser.

– Te podłużne kształty pod siatkami maskującymi?

– Rakiety SS-4. Tu obok nich stanowiska rakiet przeciwlotniczych SAM.

– Dziewięćdziesiąt mil od wybrzeży Florydy Związek Radziecki zamontował nam rakiety z głowicami nuklearnymi? – Prezydent podniósł wzrok znad zdjęć. Zmarszczki na jego czole zdawały się hołdować bezdenności Wielkiego Kanionu.

Generał Berringer po raz kolejny wypiął pierś i zacisnął usta.

– Chcę się natychmiast widzieć z szefem CIA – rozkazał prezydent, odwracając się do zebranych. – Ściągnijcie też sekretarza stanu, sekretarza obrony, wiceprezydenta. Wszystkich.

W gabinecie zawrzało.

\*\*\*

Komitet Wykonawczy Narodowej Rady Bezpieczeństwa – ExComm – został powołany do życia 16 października 1962 roku. Rozpatrywano całe spektrum wariantów działania, od bezpośredniego uderzenia nuklearnego na wrogie bazy po działania stricte dyplomatyczne. Gremium zgodziło się ostatecznie na wprowadzenie morskiej blokady Kuby, by uniemożliwić

dalsze transporty broni w pobliże granic USA. Prezydent wydał stosowne rozkazy.

Dzień później dwa gigantyczne lotniskowce, USS Enterprise i USS Independence, zajęły pozycje pięćset mil morskich od wybrzeży Kuby. Niczym król i królowa oceanicznej szachownicy, przewodniczyły niemal dwustu innym amerykańskim okrętom, tworząc barierę odcinającą wyspę od świata.

Cała armia Stanów Zjednoczonych postawiona w stan gotowości Defcon-2 trwała w oczekiwaniu na rozkazy płynące z podziemnego kompleksu dowodzenia.

– Jesteśmy na pozycjach, sir. Póki co brak reakcji ze strony sowietów – zameldował jeden z generałów. – Nasze bazy rakietowe w Turcji, Wielkiej Brytanii i we Włoszech zgłaszają pełną gotowość.

Kennedy wpatrywał się w wielkie, przesuwane na szynach tablice. Zawierały informacje i dane z obecnej sytuacji kryzysowej, ukazywały rozmieszczenie okrętów i położenie wojsk.

– Rosyjski konwój nadal zmierza w stronę wyspy?

– Tak, sir, wciąż płyną. Żadnej odpowiedzi na nasze wezwania.

– Stanęliśmy twarzą w twarz, ale to oni mrugną pierwsi – odezwał się sekretarz stanu Dean Rusk. – Jestem pewien, że nie sprowokują konfrontacji, przecież...

Jeden z oficerów siedzących w pobliżu oderwał słuchawkę od ucha i zwrócił się w stronę prezydenta.

– Wywiad donosi, że konwój najprawdopodobniej ma rozkaz od samego Chruszczowa, żeby przebić się przez blokadę.

Sekretarz stanu zamilkł, napotykał wzrok prezydenta. Spuścił głowę.

– Niech tylko spróbują – warknął stojący obok generał Berringer – Powinniśmy ich...

– Nie rozpętam trzeciej wojny światowej, zachowując się jak cholerny cowboy w kapeluszu na oczach, wywijający rewolwerami. Zaczekamy na ich ruch.

Generał spurpurowiał i zagryzł wargę, gdy prezydencka aluzja wreszcie przedarła się przez jego grubą czaszkę.

– Profesorze Bernhof? – Prezydent rozejrzał się po sali.

Jeden z ludzi spośród licznej ekipy białych uniformów wstał sprzed konsoli i podszedł do głowy państwa.

– Panie prezydencie?

– Tarcze grawitonowe w gotowości?

– Tak jest. – Profesor Patrick Bernhof, ojciec nowej broni, skinął głową. – Jeśli tylko zarejestrujemy start rosyjskich rakiet balistycznych lub ich bombowców, jesteśmy w stanie unieszkodliwić je w czasie poniżej trzech minut.

– Szczerze wołałbym, żeby do tego nie doszło.

– Ja również – skłamał naukowiec, pośpiesznie przenosząc wzrok na tablice.

Jeden z ludzi ze słuchawkami na uszach przesunął znaczki symbolizujące nadpływający rosyjski konwój bliżej oznaczeń okrętów amerykańskich.

– Konwój znajduje się piętnaście mil od blokady – zameldowano z sali.

Prezydent w otoczeniu doradców i generalicji nie spuszczał oka z aktualizowanych na bieżąco paneli.

– Trzyście mil.

Czas wydawał się biec wolniej, zupełnie jakby sama historia skoncentrowała się na poczynaniach ludzi, przystając i przyglądając się w skupieniu.

– Dwanaście mil.

Kilku wojskowych nachyliło się w stronę prezydenta, poddając ściszym głosem parę sugestii.

– Jedenaście. Dziesięć mil.

– Nie zatrzymują się – szepnął trupio blady sekretarz obrony McNamara. – A jeśli rzeczywiście spróbują się przebić?

– Dziewięć mil. Osiem.

– Meldunek z USS Enterprise! – padło z sali. – Czoło rosyjskiego konwoju zwalnia.

Zatrzymują się! Potwierdzam, zatrzymują się sześć mil od nas!

Szum westchnień, które wyrwały się z wielu piersi, zlał się w jedno głośnie technienie ulgi. Ktoś zaklaskał energicznie, ale niemal od razu przestał. Część ludzi powstawała z miejsc, niektórzy podawali sobie ręce, inni ściskali się wylewnie.

– Telegram od Nikity Chruszczowa. – Do prezydenta i doradców podbiegł pracownik łączności z kartką papieru w dłoni.

Wzrok Kennedy'ego ruszył sprintem przez linijki tekstu.

– Chruszczow wstrzymuje konwój – powiedział prezydent. – Żąda natychmiastowego wycofania naszych rakiet z Turcji, a wtedy oni zgodzą się wycofać z Kuby – doczytał głośnie.

– Mówiłem, że mrugną pierwi, mówiłem! – Sekretarz stanu Dean Rusk roześmiał się histerycznie, machając tryumfalnie zaciśniętą pięścią.

Syrena alarmowa przecięła przestrzeń schronu krótkim, ostrym impulsem. Wszyscy zamarli.

– Kontakt! Kontakt! – rozbrzmiał w absolutnej ciszy wyćwiczony, niemal mechaniczny głos operatora systemów radarowych. – Potwierdzenie odpalenia z terytorium Kuby. Radar śledzi pojedynczy obiekt na trajektorii zero dwa piętnaście. Leci prosto na naszą flotę.

– Jest potwierdzenie z lotniskowca. To jedna z radzieckich rakiet SS-4! Prawdopodobieństwo ataku nuklearnego, powtarzam, prawdopodobieństwo ataku nuklearnego.

– Skurwysyny zadarły z niewłaściwym przeciwnikiem – krzyknął ktoś z generalicji. – Na co czekamy?! Musimy natychmiast atakować!

– Inne rakiety? Bombowce? – spytał prezydent zza dłoni splecionych przy ustach.

– Nie, sir. Terytorium radzieckie czyste, wybrzeża czyste, blok wschodni czysty. Niczego więcej nie odpalili.

– Uderzenie za cztery minuty, osiemnaście sekund.

– Moskwa zapewnia, że głowica jest nieuzbrojona – krzyknął ktoś z ekipy telegrafistów.

– Piszą, że raketę odpalono wbrew wyraźnemu rozkazowi.

– Zawsze znajdzie się jakiś sukinsyn, do którego nic nie dociera – rzucił Kennedy.

– Sugestie?

– Pełne uderzenie prewencyjne. Praktycznie jesteśmy już w stanie wojny, panie prezydencie.

– A jeśli Sowietci mówią prawdę i to tylko jakaś pomyłka?

– Nie możemy zaryzykować sprawdzenia, czy to blef. Możemy stracić całą flotę.

– Użyjmy tarczy grawitonowej. Odsłonimy co prawda karty, ale zabezpieczymy nasze okręty. Zobaczmy, jak zareagują.

– Uderzenie za trzy minuty, trzydzieści sekund – głos z sali przerwał doradcom.

– Defcon jeden! – rozkazał prezydent. – Tarcza grawitonowa ponad naszą flotą.

Przekonajmy się, co jest warta ta pańska technologia, profesorze Bernhof.

– Alfa, alfa, jest autoryzacja odpalenia! Kod: Trident siedem, powtarzam: Trident siedem.

Bateria rakiet na lotniskowcu USS Independence ożyła. Siedem smukłych kształtów z potwornym hukiem silników wypruło w powietrze, ciągnąc za sobą słupy dymu. Ekspłodowały jednocześnie bezdźwięcznymi impulsami oślepiających błysków. Niebo nad oceanem natychmiast pociemniało. Ponad głowami marynarzy wykwitł rozciągający się niemal po horyzont wir. Białofioletowy, półprzezroczysty odmęt zaczął pulsować rytmicznie falami energii.

– Pole grawitonowe rozpostarte. Parametry w normie. Idealna amplituda. – Oczy profesora Bernhofa płonęły fanatycznym uwielbieniem nad odczytami aparatury.

– Pocisk zmienia trajektorię – krzyknął operator radaru.

– Spada do oceanu! – Podekscytowany Bernhof klasnął w dłonie. – Spada!

– Independence melduje, że rakietka utraciła napęd, ale wciąż utrzymuje się w powietrzu.

Raportują, że choć nie zbliża się w ich kierunku, wciąż się wznosi. Radary potwierdzają. Rakietka dryfuje ku centrum pola grawitonowego.

– To niemożliwe! – krzyknął blednący w mgnieniu oka Bernhof. – Pole grawitonowe nie działa w taki sposób, rakietka powinna przecież spaść, coś musi być...

Biały, stroboskopowy blask zalał nagle pomieszczenie dowodzenia jaskrawą luną. Twarze wszystkich zgromadzonych zastygły w krańcowym szoku. Rząd ekranów ustawionych przy ścianie

schronu pokazywał obraz na żywo z kamer zainstalowanych na jednym z oddalonych od blokady niszczycieli. Coś, co mogło być jedynie charakterystyczną kulą atomowego ognia, rosło w centrum obrazu.

Widok poraził profesora Bernhofa. Nogi pod nim zwiotczały, upadł na kolana. W tej nanosekundzie niewyobrażalnej energii, w tym preludium nieznaney dotąd reakcji, wynalazca nowej broni doznał czegoś, co zdało mu się objawieniem absolutnej prawdy, wizją nadciągającej, nieuniknionej przyszłości.

Sala dowodzenia wkoło niego zmieniała się w pandemonium syren, alarmów, panicznych okrzyków i chaotycznych rozkazów.

– Mój Boże! Nie! Nie! Nie! – szeptał Bernhof, ściskając się za głowę i wpatrując w szarpany potwornymi zakłóceniami przekaz.

Głowica rakiety eksplodowała dokładnie w centrum burzy grawitonowej, rozpostartej nad teatrem kryzysu. Majestatyczny wir, dotąd pulsujący miarowo falami energii, przeobraził się w przecinany wstęgami plazmy cyklon rotujący coraz szybciej i szybciej.

Na oczach profesora, prezydenta i pozostałej załogi centrum dowodzenia okręty jeden po drugim zaczęły unosić się z powierzchni oceanu. Przyciągane niewidzialną, niewyobrażalną siłą, rozpadały się na kawałki, wzlatując coraz wyżej i wyżej ku centrum huraganu energii.

Anomalia zrodzona w niewytłumaczalnej syntezie amerykańskiego pola grawitonowego z radziecką eksplozją termonuklearną rozpościerała się ponad Atlantykiem. Powołana do istnienia koniunkcją potęg dwóch największych mocarstw świata, zaczęła powoli rozrastać się, wchłaniając wszystko wokoło.

Profesor Patrick Bernhof jako pierwszy zrozumiał, na co patrzy. Chciał krzyżeć, lecz tylko otworzył usta. Niemy demiurg apokalipsy na klęczkach przyjmował pokutę za swoją rolę w sprowadzeniu końca świata.

Błękitna planeta, dom gatunku istot określających siebie mianem *Homo sapiens*, przestawała istnieć. Znikała wchłaniana przez monstrualną czarną dziurę, zakazany owoc

bezmyślnego wyścigu zbrojeń, Graal poszukiwań metod coraz pełniejszej destrukcji, ultima ratio mroku ludzkiej natury.